

## Fotograf zaginionego miasta

Oto było miasto w Lublinie, o którym żydowski historyk Majer Bałaban pisał w 1919 roku:

„Z głębokości wód wołam do Ciebie, Panie» — modlił się niegdyś, przed tysiącami lat Psalmista, iż tej samej głębokości, z ciemnych zaułków, z brudu getta żyjącego nadal w świecie Średniowiecza trzy razy dziennie modlą się tymi słowami w swoich synagogach dzieci Psalmisty.

A synagog jest w Mieście Żydowskim wiele, niemal tak wiele, jak kościołów na Starym Mieście. Niemal w każdym domu jest bożnica lub bethamidrasz, przy którym zwykle mieści się także cheder. Rano i wieczorem zbierają się tutaj pobożni, cały dzień siedzą tu dzieci i słuchają z ust nauczyciela «Słowa Bożego». Tutaj, w ciemnych i niewietrzonych pomieszczeniach, od rana do późnego wieczora małe studiują Pismo i Talmud, monotonicznie wyśpiewując święte wersy. Ich śpiew rozbrzmiewa daleko na ulicy i razem ze zgiełkiem ulicznym, krzykami tandeciarzy i sprzedawców, głosami targujących się: kobiet i turkotem wozów nadaje żydowskiej ulicy swoisty koloryt.”

Jak sfotografować takie miasto? Gdy pod koniec lat trzydziestych podjęto w lubelskim, magistracie decyzją o gruntownej przebudowie żydowskiego przedmieścia i wyburzeniu jego najbiedniejszej części, miejski konserwator zabytków poprosił lokalnych fotografów o zdokumentowanie dzielnicy przed remontem. Na apel odpowiedział m.in. Stefan Kielsznia (1911-87), członek Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego. Ten młody wówczas pracownik księgarni od zawsze interesował się grafiką i malarstwem. Warunki materialne - pochodził z rodziny najemnego młynarza - nie pozwoliły mu jednak rozwinąć plastycznych uzdolnień. Formą artystycznej samorealizacji stała się dla niego fotografia. Tym bardziej że Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne skupione wokół osobowości takich jak Edward Hartwig czy Gerard Ciołek było wówczas jednym z najprężniej działających w Polsce.

Jesienią 1937 Stefan Kielsznia ustawił na statywie aparat rolleiflex, właśnie kupiony za 560 zł w znakomicie zaopatrzonym sklepie Stanisława Magierskiego, i zaczął rejestrować kamienicę za kamienicą, „...na wieczną rzecz pamiątkę. Nie miałem ciagot do modnego przed wojną artyzmu. W fotografii widziałem doskonały instrument zatrzymywania czasu” - opowie kiedyś w rozmowie z dziennikarzem.

Na tle witryn sklepów bławatnych, sodówek z owocami, aptek, zakładów fryzjerskich i targowych jatek, bystre oko fotografa zatrzymało w kadrze również kolekcję postaci typowych nie tylko dla tej dzielnicy, ale dla wszystkich miast wschodniej Rzeczypospolitej. Bogaty chłop w wyglancowanych oficerkach, biedota wysiadująca na schodach, dziewczynka wracająca ze szkoły w paltociku z przenicowanej wełny, zakutane w chusty chłopki na tle szczupłutkiej elegantki w szpilkach z reklamowego szyldu, dorożkarz w kaszkietówce, wiejski hołysz w waciaku, lokalny żigolak w kapeluszu, granatowy policjant, bogobojny Żyd... - klientela „sklepów cynamonowych”.

Stefan Kielsznia potraktował pomysł zdokumentowania części miasta na tyle poważnie, że nie miał możliwości wykonania odbitek z tak dużej ilości wywołanych negatywów. Fotografia w latach trzydziestych była kosztowną pasją.

Potem pracę przerwała wojna. Tajemnicą pozostaje, w jaki sposób filmy i zdjęcia przetrwały czas pożogi. W latach stalinowskiego bezprawia ich właściciel inwigilowany nieustannie przez Urząd Bezpieczeństwa za współpracę z AK. (zajmował się m.in. wyrabianiem tzw. lewych dokumentów) i nagabywany o zdjęcia kolegów z podziemia, zniszczył - podobnie jak kilku innych lubelskich fotografów - sporą część swoich zbiorów. Spędził za to trzy i pół roku w więzieniu, gdzie na zawsze nauczył się nie wspominać o przeszłości, nawet swoim dzieciom.

Wojnę i ubeckie konfiskaty przetrwało około czterystu negatywów. Niektóre z nich doczekały się pierwszych odbitek dopiero w 1977 roku, gdy autor zdecydował się ujawnić w końcu ich istnienie. „Do pozostałych po zawierusze wojennej resztek nie przywiązywałem żadnej wagi. Leżały zapomniane. Przeglądając je któregoś razu uzmysłowiłem sobie jednak, że takiego Lublina już nie ma, nie pamięta go już młode pokolenie. Zrobiłem trochę wglądówek i pokazałem je Henrykowi Gawareckiemu, prezesowi Towarzystwa Miłośników Lublina. I on mnie namówił do zrobienia wystawy [Dawny Lublin na fotografiach Stefana Kielszni, 1977]” - wyjaśnił autor pod koniec swojego życia.

Na początku lat osiemdziesiątych zbiorem zainteresował się Murray Forbes, Amerykanin studiujący malarstwo w Krakowie. Z ramienia Fundacji Navigator w Bostonie zorganizował wystawę zdjęć przedstawiającą życie polskich Żydów przed wojną. Fotografie Stefana Kielszni pokazywane były m.in. w Bostonie, San Francisco, Paryżu, Tel Awiwie. W trakcie tego objazdu zaginęła niestety większość już raz ocalonych negatywów. „Ojciec poproszony o pożyczenie filmów, nigdy nie odmawiał” - przyznaje Jerzy Kielsznia. Wykorzystywali to niesolidni organizatorzy wystaw i amatorzy pamiątek po żydowskiej przeszłości. W rękach rodziny pozostały, przechowywane jak relikwie, dwie ostatnie rolki filmów.

Trudu zgromadzenia rozproszonego materiału - obojętnie w jakiej postaci - podjął się działający w Lublinie Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”. Sukcesywnie „skompletowano” całą ulicę Nową, Lubartowską, Świętoduską, Kowalską, częściowo Szeroką i Krawiecką. Jest nadzieja, że przynajmniej część wartościowego zbioru będzie dostępna w jednym miejscu.

Przeglądając uporządkowane zdjęcia, w monotonii następujących po sobie numerów kamienic i w zatrzymanych spojrzeniach przechodniów nieistniejącego już miasta, odczytujemy dzisiaj posmak tajemnicy, atmosferę wiecznego oczekiwania. Na Mesjasza? Ale zanim przyjdzie Mesjasz - na klienta, na sąsiada do pogadania, na to, co przyniesie kolejny dzień. W pozornie beznamietnych obrazach fotograf uchwycił aurę żydowskiej dzielnicy, specyficzny koloryt miejsca, które zbiera się do odejścia, choć jeszcze nikt nie wie, jaki zapadł wyrok.

Pięć lat po fotograficznych peregrynacjach Stefana Kielszni, wiosną 1943 miasto to odeszło przez rampę za miejską rzeźnią do obozu zagłady w Bełżcu. Z Szerokiej, Krawieckiej, Wąskiej, Wielkiej Synagogi pozostały zgliszcza, z czterdziestu tysięcy jego żydowskich mieszkańców w Lublinie nie pozostał prawie nikt. Dzięki zachowanym negatywom możemy dziś wywołać w wyobraźni fantom tamtego *civitas judeanum* i przywrócić dzisiejszym lublinianom amputowaną część historii.